

W oknie



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W oknie

Naprzeciw mojego domku w... miałem długo plac pusty, zagrodzony deskami i dotąd nie zabudowany, chociaż dokoła już stały dosyć okazałe kamienice.

Ale pośpiesznie, jak grzyby, powyrastały one z ziemi w tej części miasta, odległej od głównego ogniska, która życia jeszcze nie miała i spodziewała się je pozyskać. Zbyt świetne nadzieje zawiodły spekulantów, i o ów nieszczęsny plac nikt się już nie kusił.

Widok z okien moich wcale miłym nie był. Zaniehbany grunt służył tymczasowo właścicielowi i sąsiadom za rodzaj śmietniska, na które zwożono wszystko, co gdzieindziej zawadzało. Oprócz tego, ponieważ plac był piaszczysty, kopano doły i dobywano piasek w potrzebie, który furami stąd zabierano.

Nie można sobie wystawić nic smutniejszego nad ten opuszczony, zapomniany kawałek ziemi.

Powierzchnia jego nierówna, poryta, porosła w lecie zielskim nędznem, brudna — w jednym końcu garbiła się górami śmieci, w drugim zapadała w doły po deszczach, pełne gnijącego błota. Boki tych śmietnisk świeciły wszelkimi resztkami i lupinami żywota, jakie tylko sobie wyobrazić można: skorupami garnków, szczątkami butelek, obłamkami talerzy, zrzynkami gnijących papierów, poszarpanem obuwiem, kośćmi żółklemi, popiołem i węglami.

Zsiadało się to w jedną masę dla przyszłych badaczy i archeologów, a drugiego roku już z nasion, które wiatry przyniosły, coś kiełkowało i zieleniało. Uważałem przez lat kilka, że zawsze prawie jedne i te same rośliny rozpoczynały wegetację, a po nich przychodziły i następowały szeregiem inne — w porządku niezmiennym.

W drugim końcu placu rosła jedna jedyna, stara, obłamana akacja, mizerna, biedna, u góry tylko zieleniejąca w lecie, rozplątana na pół od wiatru.

Jak i czem ona tam żyła — jest jej tajemnicą. Popod nędznem ogrodzeniem gdzieś rosy jakieś krzewy, których rozpoznać nie umiałem. Plac miał też swych lokatorów, do których należały krety, myszy i szczury — nieliczne ptastwo.

Kiedy niekiedy otrzymywał ktoś pozwolenie złożenia tu desek, tarcic, opilków, cegły; wówczas otwierały się wrota — plac zmieniał swą jednostajną fizyognomię nudną i smutną.

Unikałem, o ile mogłem, wyglądania przez okno w tę stronę, i długi czas jakoś plac pusty wcale mojej nie zwrócił uwagi. Jednego dnia, przypadkiem rzuciwszy okiem, dostrzegłem ogromne stosy cegły, ustawione od ulicy i, co mnie najmocniej zdziwiło, kilku ludzi, którzy kopali.

Kupy żółtej ziemi wznosiły się już na prawo i na lewo. Domyśliłem się łatwo, iż na ostatek ktoś na osieroconym tak długo placu budować się ośmielił. Było to razem pociechą dla mnie i mogło trwożyć, bo sąsiedztwo domu stawiało zagadkę, co w tym i z tego domu być miało.

Nie każda kamienica jest miłą pod bokiem.

Nie dziw, że potem z wielką ciekawością śledziłem cały postęp w budowaniu nowego domu.

Z fundamentów nic wniesić nie umiałem; bardzo szybko i niezbyt, jak mi się zdawało, starannie uwinął się z nimi budowniczy; dom, jak grzyb, do góry się podnosić zaczął. Niewielki, miał tylko pięć okien od frontu, a formy jego architektoniczne dosyć zwyczajne domyślać się kazały, że jak najoszczędniej murowano — prostą kamieniczkę, dla dochodu.

Pierwsze belki, które przywieziono, z drzewa nie bardzo suchego, cienkie, jeszcze mocniej mnie utwierdziły w przekonaniu, że dom ozdoby naszej części miasta nie przyczyni.

Mur z cegieł był cienki, cegła rozsypująca się i nieosobliwa. Starania nie widać było o nic, oprócz, aby to stało jak najtaniej, a może jak najprędzej.

Przed jesienią też dom był pod dachem, z takich cieniuchnych krokiewek skleconym, że mi się wierzyć nie chciało, iż dachówkę utrzymać potrafią.

Gdy do wykończenia przyszło — przekonałem się, że to będzie mieszkalne pudełko bez żadnych ozdób i najmniejszego starania, aby oko mile na niem spoczęło. Szła za to budowa niewypowiedzianie szybko, a nim zaczęto tynkować, już na płocie wisiała karta z napisem — »Do najęcia«.

Zima się w tym roku spóźniła tak, że domostwo przed mrozami stało już z zapadniętymi oknami, gotowe... na przyjęcie tych, co się w niem mieszkać odważą.

Jednego ranka zjawiła się na dole tablica, niewytwornie malowana, zwiastująca: „*Wyszynk rozmaitych trónkuw, wudek, pywa i t. d.*” Niewiele to było obiecującym, a sąsiedztwo takiego szynku bywa prawdziwym utrapieniem. Nie chciało mi się już patrzeć w tę stronę.

Wiedziałem tylko, iż w ciągu zimy, oprócz szynku na dole, nikt się do domu nie wprowadził.

Pośpiesznie nalepione tynki, od pierwszych mrozów popękane, stały się obrzydliwie plamiste; dom, choć nowy, powierzchowność miał odrażającą.

Deszcz, śnieg i pluchy zmywały napróżno wywieszane karty, oznajmujące, iż wszystko było w porządku.

Nadeszła wiosna, właściciel trochę ściany pomazał na nowo, zabrano się do uporządkowania podwórka i ogrodu, placyk przybrał nową fizygnomię — nieładną, ale znośną.

Kwiecień się już rozpoczął, gdy jednego dnia rano spostrzegłem znanego mi z migdałowego surduta wyszarzanego właściciela nowej kamieniczki, który prowadził z sobą kobietę średniego wzrostu, otuloną wielką, wyblakłą i wynoszoną chustką.

Gdy się zwróciła, mogłem tylko rozpoznać bladą i młodą twarzyczkę. Ubranie było ubogie, ale chędogie.

Trwożliwie, pośpiesznie dziewczyna z właścicielem weszła do wnętrza, i w chwilę potem ujrzałem gospodarza otwierającego okna drugiego piętra. Pokazywał i zalecał części mieszkania, tam się znajdującego.

Ogłędziny domu trwały dosyć długo, poczem kobieta sama już wybiegła szybko i, rzuciwszy okiem na dom raz jeszcze, bardzo przyśpieszonym krokiem puściła się ulicą i z oczów mi znikła.

Mogłem się jej teraz lepiej przypatrzeć. Twarzyczkę miała dosyć przystojną, lecz troski życia wryły się na niej tak straszliwie, tak dobitnie, iż los nieszczęśliwy odrazu z niej wyczytać było można. Szła jakby przestraszona i nieprzytomna — zatopiona w myślach.

Ubiór czysty był niezmiernie ubogi, począwszy od obuwia do okrycia głowy. Nie widać w nim było najmniejszej kokieteryi, która nawet przy ubóstwie objawiać się umie; pomimo to wyglądała przyzwoicie, i nie było zaniedbania rozpaczliwego w ubraniu.

Zagadką było dla mnie, czy mieszkanie zostało najęte, ale po południu rozwiązała się ona, bo stróż zaczął myć okna, zamiatać i oczywiście przygotowywać pół pięterka na przyjęcie lokatorów.

Przez cały dzień następny trwały te przygotowania; trzeciego rano zajechał wózek biedny i ciągnięty przez dwóch ludzi, starego w lachmanach i chłopię bosonogie. Pełen był sprzętów, na które rzut oka starczył, aby poznać, że należały do ludzi nie tylko ubogich, ale najuboższych.

Były to nieodzownie potrzebne szafeczki sosnowe, stoły, stolki, łóżka, od siekiry przed laty wyciosane, połamane, łatane — szerniałe... biedne nad wyraz wszelki... Wśród nich leżały węzłki, pościel, lachmany i strzępki różne, których użytku odgadnąć było trudno. Rozpoznałem części krosienek, deski, obszyte sukmem, do prasowania, wałki do maglowania, kuchenne naczynia.

Wszystko było stare, poszczerbione i zużyte.

Zaczął wnosić te ruchomości na górę, wózek potoczył się nazad i raz jeszcze przywiózł ładunek podobny. Tu już i para skrzynek i kufer ze skóry odarty się mieścił.

Za tym wozem można się było i lokatorów spodziewać. Jakoż niebawem ukazała się młoda owa dziewczyna, tak samo przyodziana, jak pierwszym razem. Na nędznym, starym krześle z kółkami obok niej ciągnięto, a ona popychała też — siedzącego, skurczonego, obwinętego kołdrą pstrą i dywanikiem podartym staruszka, który głowę miał na piersi bezwładnie zwisłą, tak, że twarzy jego wcale widać nie było i nic oprócz żółto siwych, długich, okalających ją włosów. Chustka kobieca otaczała jego ramiona.

Z jednej strony wózka tego była dziewczyna, z workiem dużym w ręku, z drugiej stara kobieta, która także usiłowała popychać — okrywały ją niemal lachmany. I ona trzymała torbę w ręku, a zawiniątko jakieś pod pachą.

Z wielkim trudem wtoczyło się to na podwórko, a tu dopiero rozpoczęto dobywanie starca z krzesła, którego prawie na rękach do domu wniesiono. Jak później dostał się na drugie piętro, anim mógł, ani chciałem się przyglądać, tak mnie widok tej niedoli głęboko poruszył.

Wieczorem w jednym z okien zabłysło po raz pierwszy światelko, a cień na storze płamistej przesuwały się — przypominał postać dziewczęcia.

Przez długi czas nie miałem odwagi, przyznam się, spojrzeć na okno kamienicy. Nic też tam do widzenia nie było; nie przyozdobiono ich niczem, nie ukarał się ani wazonik, ni kwiatek, ni firanka.

W kilka dni później dostrzegłem tylko przy ostatnim oknie głowę dziewczęcia, pochyloną tak, że się domyślić było łatwo, iż w krosnach nad jakąś robotą pracowała.

Na ciemnym tle profil malował się bardzo wyraziście, jakby w dwubarwnej kamei; rysy były regularne, piękne, ale oblane niewypowiedzianym smutkiem.

Godzinami siedziała tak nieruchomie nad robotą; czasami znowu zrywała się co chwila, odwoływana od niej, i jakby każda minuta była jej drogą, powracała z pośpiechem, aby natychmiast oderwać się znowu.

Zaledwie siadła — już niespokojnie podnosiła głowę i biegła. Znikała, ukazywała się niespokojna. Wszystko tam musiało być na jej rękach.

Na twarzy wyraz się nie zmieniał — nie widać było zniecierpliwienia — niepokoj, rysy, jak skamieniałe, nie poruszone, ani uśmiech rozjaśnił, ani zniechęcenie ich nie zmarszczyło. Starca ani staruszki w tem oknie, ani w innych nie widać było nigdy.

Czasami w popołudniowych godzinach dziewczyna, zawsze jednakowo ubrana, wyrwała się z domu pośpiesznie z jakimś pudełkiem w ręku i, bardzo żywo biegnąc ulicą, znikła z oczów, tak samo śpiesząc, gdy później wracała.

Można było odgadnąć z tych niewielu oznak życie smętne i biedne, jakie tam prowadzono, którego dziewczę stanowiło jedyną podporę.

Ubóstwo nie ma przyjaciół, ludzie się do niego zbliżyć lękają, nie zawsze z obawy, aby mu nie potrzebowali przyjść w pomoc, więcej dlatego, że widok tej walki o byt jest smutnym.

Tu też do nowych lokatorów przez czas długi nikt nie przychodził, zresztą gości, jakich oni przyjmować mogli, trudno było rozróżnić od tych, którzy szynk na dole odwiedzali.

Upłynęło kilka miesięcy, lato nadeszło, a oprócz otwierających się teraz okien, w mieszkaniu żadna zmiana nie zaszła. W lipcu wszakże dziewczę mniej u krosien siedziało, nieustannie od nich odrywane, a po kilku tygodniach już tylko przemykające się pośpiesznie przez izdebki niekiedy się ukazywało.

Raz dostrzegłem znajomego mi dobrze doktora ubogich, który wsunął się do kamienicy naprzeciwno. Czatowałem na niego, gdy powracał, aby się coś dowiedzieć, bo mnie to ciche ubóstwo zajmowało.

Pochwyciłem wychodzącego, aby spoczął u mnie.

— Masz, widzę, praktykę w sąsiednim domu — rzekłem, sadzając go w biblioteczkę.

— Dopiero od dziś — odparł smutnie — biedna to praktyka, bo ja tam nic pomódz nie będę mógł, a...

Nie dokończył.

— Domyślam się wielkiego niedostatku — wtrąciłem.

— Nie mylisz się — rzekł doktor, zapalając cygaro i wzdychając. — Potrzeba koniecznej duszę jakąś miłosierną tam posłać — ale z tymi ludźmi trudno będzie, bo duma ich równa się ubóstwu... Nic od nikogo przyjąć nie zechcą. Byli niegdyś zamożni, a z przeszłości pozostało im uczucie godności, które nie dopuści ręki wyciągać. Panna Adela,

pracując, zabija się, ojciec dogorywa, matka rękami pokurczonemi od reumatyzmu półczochy wełniane robi — głodem mrą, a przyjąć pomocy nie chcą.

— Znam ich oddawna — dodał doktor — ale mi, wyniółszy się tu, znikli z oczów. Poczciwi, zacni ludzie: na nieszczęście, które ich dotknęło, wcale nie zasłużyli, znoszą je, nie szemrząc. Widok ten serce rozdziera...

— Nie mająż rodziny? nikogo?

— A! rozrodzoną bardzo i majątną — dodał doktor — ale bez serca. W takich warunkach przyjąć pomoc, w jakich ją ofiarowano, nie dozwalało poczucie godności własnej. Wszystko to smutno się skończy!!

— Mój Boże — przerwałem doktorowi — przecieżby też jakiś środek pomożenia w sposób delikatny mógł się znaleźć.

Lekarz ruszył ramionami i milcząco potrząsnął głową.

— Żal dziewczęcia, które się tak zmarnuje i zamęczy — dodałem.

— Żal — potwierdził doktor zadumany — tem bardziej, że takiego poświęcenia dla rodziców, takiej cichej, spokojnej ofiarności dziecięcia — trudno drugiej znaleźć na świecie.

Niewiele mając czasu, doktor spojrział na zegarek i pożegnał mnie. Ciekawość, podbudzona teraz żywiej jeszcze, prowadziła mnie często do okna.

Nadeszła jesień, napród ta uroczą, która czasem wiosną przypominała, gdyby liście z drzew nie opadały; potem słotna, zimna i dla starych, a chorych zabójcza.

Okna naprzeciwko stały zamknięte; nic widać nie było przez nie.

Zrana raz, w dzień wichru i pluchy, wbiegł do mnie doktor ubogich, jak powiadał, aby się ogrzać trochę. Siadł u komina i zadumał się smutny. Domyślałem się, że wracał z przeciwka. Na twarzy jego poczciwej malowało się to współczucie bezsilne, które przejmuje serce wobec nieszczęścia bez ratunku.

Nie śmiałem go rozpytywać, a on sam nie śpieszył wygadać się przede mną.

Napoilem go herbatą. Kilka razy podchodził do okien zobaczyć, czy się nie wyjaśniło, ale prawdziwie jesienna słota bez nadziei szarym, wilgotnym płaszczem pokrywała wszystko. Świat stał mokry, zmarzły — zbiedzony, jak ludzie, drzewa, ogołocone z liści, zdawały się trząść od zimna.

— Byliście naprzeciwko? — spytałem.

— Tak jest — westchnął z cicha. — Staruszek nocy nie dożyje.

— Niema na to ratunku? — spytałem.

— Żadnego; było to przewidziane oddawna — rzekł doktor. — Kto wie, może to lepiej; przestanie się męczyć...

Nie dokończył, zatopiwszy się w myślach.

Gdym po wyjściu doktora poszedł do mojego okna wieczorem, spostrzegłem, że jedno naprzeciw było otwarte. Co to znaczyło, domyśliłem się łatwo...

Stary, którego widziałem niesionego w krześle, nie żył. W nocy kilka świeczek płonęło przy łożu, na którym spoczywały zwłoki, oczekując na trumnę. Okryta wyszarzaną narzutką, dziewczyna biegła ciągle, nie mając czasu płakać. Na niej jednej leżało wszystko, pogrzeb, przygotowania do niego, wydatki, oznajmienie urzędowe o śmierci, formalności... Aż do późna widziałem ją, z pośpiechem, zdyszaną, wymykającą się z domu, powracającą samą lub z kimś potrzebnym... a w nocy na piętrze widać było ruch nieustający.

Nim się rozwidniło, przyniesiono prostą trumnę.

Staruszki nie widać było; musiała bezsilna leżeć zapewne, a córka dzieliła się pomiędzy zmarłym ojcem a rozpaczającą matką.

Litościwi ludzie z dołu pomagali jej potrosze. Pogrzebu aniśmy w ulicy posłyszeli, ani postrzegli; był to pogrzeb nędzarza, na który się nikt nie ciśnie, bo nie ciekawym jest człowiek podobnego obrządu. Z urzędu i obowiązku przybywają ci, co muszą.

Przez cały ten dzień jeszcze okno pokoju, który zajmował, stało otwarte. Córka, z pogrzebu powróciwszy, nie ukazała się już, była przy matce. Pracującej przy oknie nie widziałem przez dni kilka, bo musiała zapewne siedzieć przy chorej. Doktor mój znajomy parę razy zachodził tu, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że matka chorować musiała. Nie wstępował jednak do mnie, aż zapukałem w szybę raz i dałem mu znak, że go proszę.

Spojrzał na zegarek, bo czas miał wymierzony poczciwy staruszek, i szybko wszedł do mnie, nie zrzucając paltota.

— Nie chcecie nawet spocząć? — spytałem.

— Czasu nie mam — odparł, witając się — jesień zawsze roboty nam przysparza, szczególnie pomiędzy ubogimi. Dnia zamało, aby obowiązkom podołać.

— Stary umarł! — dodałem — a jednak zachodzicie tu.

— Teraz kolej na staruszkę — odezwał się doktor, siadając na chwilę. — Ci, których nędza do jednego przykuła łańcucha, najczęściej gdy śmierć porwie towarzysza, przeżyć go nie mogą. Wątpię, ażeby staruszka długo pociągnęła. Nie wstaje już z łóżka. Strach pomyśleć, co się stanie z osieroconym dzieckiem, które też ostatkiem sił goni.. Pogrzeb ojca wyczerpał grosz, zapracować go niepodobieństwo...

— Ale czyż nikt w pomoc nie przyjdzie? — zapytałem.

— Pomoc przychodzi — szepnął lekarz — ale ona upokarza i dobija, a harda dziewczyna uważa ją za pożyczkę tylko, którą wrócić jest obowiązana.

W kilka dni potem sprawdziła się przepowiednia doktora: staruszka skończyła życie. Pogrzeb był tak cichy i biedny, jak pierwszy...

Wieczorem w jednym oknie się świeciło, czuwała za niem biedna sierota.

Znając zacnego doktora, który nie tylko lekarstwami, ale radą i opieką, służył swej ubogiej klienteli, byłem pewnym, że nie opuści dziewczęcia, którego rodzinę znał; stosunki w mieście liczne dozwalały mu łatwiej, niż komukolwiek, znaleźć środki nie upokarzające zaopiekowania się sierotą. Ale z doktora dobyć coś nie było łatwo, bo się chwalił i mówić o tem, co czynił, nie lubił.

W kilka dni po pogrzebie staruszki, w oknie zjawiała się blada twarzyczka dziewczęcia, pochylona nad robotą. Teraz ją nic po całych dniach nie odrywało od niej. Nie wychodziła prawie z domu, i domyślałem się, że w szynku na dole żywić się czemś musiała.

Zrana, jak tylko dobrze rozwidniało, siadała do krosien, nie wstawała do południa, przerywała pracę na czas bardzo krótki i wracała do niej; siedziała do wieczora, a potem przy zapalanej lampce prawie zawsze do późnej nocy.

Można było dostrzedz niekiedy, jak szybko ocierała łzy z oczów, aby na to czasu nie tracić.

Nieruchomy ten profil ze swym wyrazem smutku skamieniałego robił takie wrażenie przejmujące, iż długo mu się przypatrywać nie było można. Co dni kilka wybiegało dziewczę na miasto z pudełkiem w rękę i, niedługo zabawiwszy, powracało. W stroju, w ruchach — w obliczu nic się nie zmieniło. Zdawała się tylko oswojoną z tym bytem i jakby bezmyślną; duszą była gdzieindziej.

O ilem mógł dostrzedz, do niej nie przychodził nikt przez całą zimę; i aż do wiosny lampka się paliła do późna, dziewczę wstawało ze świtem, a pracowało, gdy gdzieindziej wszyscy już spali.

Wrzawy i hałasy, które często całemu sąsiedztwu bardzo się niemiłe czuć dawały, bo szynki nocami napelniała gawiedz i włóczęgi — jej zdawały się nawet nie zwracać uwagi.

Z nadchodzącą wiosną, gdy się rok kończył mieszkania, jednego dnia nadszedł właściciel kamienicy.

Okna w mieszkaniu dziewczęcia pootwierano — ruch jakiś widać było, i drugie piętro opróżnione zostało.

Ponieważ nie widać było, aby sprzęty wynoszono, domyślałem się, iż biedna pracownica przeniosła się na poddasze.

Tak było wistocie, puste dotąd nędzne izdebki na strychu ożywiły się tu twarzyczką, która w jednym z okien zasiadła u krosien i nanowo poczęła swą pracę Penelopy nieskończoną.

Jak sobie sama starczyć mogła, usłużyć, wydołać wszystkiemu, czem żyła — zaledwem się umiał domyślać.

Zdała twarz, oddawna wychudzona i zmizerowana, wydała mi się jeszcze bledszą i smutniejszą, niż kiedy, ale godziny pracy się nie zmieniły.

Niekiedy tylko widać ją było podpartą na rękę i zadumaną — z oczyma wlepionymi w ścianę. Nagle, po takim zapomnieniu się, chwytła za igłę i z podwojonym pośpiechem i gorliwością do roboty powracała.

W czerwcu, na mieście, spotkałem się z dawno niewidzianym doktorem ubogich, który się tak śpieszył, jak zawsze. Zatrzymałem go.

— Nie bywasz już na mojej ulicy? — zapytałem — nie chcesz nawet przyjść na chwilę spocząć u mnie.

— A! — odparł doktor — właśnie chciał was spytać, co się stało z tą sierotą z naprzeciwka? Mieszka ona tam jeszcze?

— W tym samym domu, ale pod strychem — odpowiedziałem — i tak pracuje, jak dawniej. Mówiliście o rodzinie i o krewnych zamożnych, żeby też kto z nich nie dał jej przytułku!!

— Ofiarowano go — rzekł — ale nie przyjęła. Może miała słusność — jest biedną, ale swobodną i nie potrzebuje się rumienić za to, że żyje na łasce rodziny.

— To zależy od... rodziny — odezwałem się. Wy, co ją znacie, powinniście choć inne zajęcie znaleźć dla sieroty, która się niewdzięczną igielką zamęcza, ledwie mogąc pewnie na kawałek chleba zarobić.

— I to trudno — odparł doktor. — Dumna jest, a przytem...

Machnął ręką, ale z miny tej i z ruchu odgadnąć nie umiałem, co miał na myśli.

Po krótkim przestanku, stary szepnął niewyraźnie:

— Nie będzie się męczyć długo!

Pożegnał mnie i poszedł.

Przypomniałem sobie wychudzoną twarz, zapadłe oczy, ręce białe, które zdala nawet wydawały się jakby wyschłymi.

Wiosna nie odżywiła biednej. W miarę, jak się wzmagało gorąco, uważałem, że częściej opadały jej ręce bezwładnie. Dłużej siadywała zadumana, chusteczką ocierała twarz, ciągle okrywającą się potem. Wydawała mi się chorą i osłabioną.

Za pierwszym spotkaniem z doktorem, doniosłem mu o swoim spostrzeżeniu.

— Jutro muszę u niej być — odparł mi krótko i zanotował sobie w książeczce.

Jakoż nazajutrz, czatując, pochwyciłem go, gdy wychodził z naprzeciwka, i zaciągnąłem na spoczynek do mnie.

— Jakżeście ją znaleźli? — zapytałem.

Nie odpowiadając mi, doktor począł chodzić po pokoju krzywiąc się. Odwrócił się potem ku mnie.

— A cóż? — rzekł — jest źle, ale ja na to nic nie poradzę. Gdyby była wielką panią i miała ochotę do życia — czasby jeszcze może ocalił ją i przedłużył... egzystencję. Gdym się jej dziś począł rozpytywać o zdrowie, uśmiechnęła mi się smutnie.

— Jestem wistocie chora, słabną, wieczorami mam gorączkę, w nocy się ona wzmaga — ale — tem lepiej, krócej się męczyć będę. Życ nie mam ochoty.

Staralem się jej dowieść, że utrzymanie życia jest obowiązkiem.

— Tak — rzekła spokojnie, gdy człowiek jest na coś świata potrzebny, ale istota, jak ja, będąca sobie ciężarem, a drugim zawadą — po co ma żyć? Nie mam już na świecie nikogo, a dla mnie spocząć, zasnąć na wieki — będzie największym szczęściem. Nie próbujcie mnie leczyć — dodała — naprzód dlatego, że leczenie się z mojem życiem nie da pogodzić, powtóre, że — mnie tem nie uczynicie przysługi.

Chciałem ją przekonać, że powinna była przyjąć od krewnych pomieszczenie na wsi, gdzieby odżyć mogła.

— A! nie! nie! — zawołała — wolę tu sobie umrzeć spokojnie, nie widziana, niż tam być ludziom widowiskiem wstrętliwym. Wyjść z tego położenia, w jakim pozostaję, najusilniejszą pracą niepodobna — dodała. — Zarabiam tyle, aby z głodu nie umrzeć i zostawić na pogrzeb...

— Na tem się rozmowa skończyła — dodał doktor. Nie widzę sposobu wyrwania jej — nieuchronnej śmierci. Może pociągnąć tak rok, półtora — ale, jeżeli nie zmieni myśli, nie zapragnie sama uratować się, nie pokocha życia...

Nie mówiliśmy więcej, bo nam przeszkodzono. Opowiadanie lekarza uczyniło na mnie tak bolesne wrażenie, że długo potem na okno w poddaszu nie spoglądał.

Jesienią już, podniósłszy oczy przypadkiem, w oknie ujrzałem naprzód profil znajomy dziewczęcia, a naprzeciw niego nową twarz męską... młodego człowieka, bladego, jak ona, smutnie się w nią wpatrującego. Rysy twarzy miał sympatyczne.

Ciekawość, obudzona tem we mnie, zatrzymała dłużej w oknie, chciałem widzieć niespodzianego gościa tego, gdy z domu będzie wychodził, i odgadnąć stosunek, jaki mógł łączyć tę niedawno rozpaczającą istotę z tym kimś — jej obcym.

W dobre pół godziny dopiero znikła twarz mężczyzny w oknie, a ukazała się we drzwiach domu. Nieznajomy ubrany był ubogo, ale czysto... cała postać zwiastowała w nim wykształcenie i wyszlachetnioną naturę.

Nie miał lat trzydziestu... Wyszedł powoli upojony i zadumany z tego domu, niepevien, gdzie się zwróci; powstał trochę w progu i z wolna pociągnął ku miastu.

Z okna dziewczę wyjrzało za nim i znikło.

Miałab to być opatrnościowa do życia zachęta?

Następnych dni kilka nie zjawił mi się ów gość, a dziewczę siedziało przy krosienkach. Zdała twarz zdawała się nie tak bladą i jakby leciuchnym okraszoną rumieńcem.

Wstąpiłaż w nią nadzieja?

W sobotę następną wieczór był piękny i pogodny, młody gość zjawił się u drzwi. W kwadrans potem razem z nim wyszło dziewczę. Zblizka je zobaczywszy, przekonałem się, że ów rumieniec i odrodzenie zrozpaczonej było złudzeniem. Twarz wprawdzie idealnego nabrała wdzięku, ale piętno śmierci już na niej było wyryte.

Szła nadzwyczaj powoli, z widocznym wysiłkiem, niekiedy rękę przykładając do piersi i stając, aby odetchnąć. Naówczas towarzysz jej zatrzymywał się także, zwalniał kroku, pochylał się troskliwie, i szli znowu dalej.

Kawałek ulicy, który z okna mojego widać było, przeszli tak wolnym krokiem, iż długo mogłem się im przypatrywać. Mężczyzna był nadzwyczaj zajęty swą towarzyszką, ona też niby udawała ożywioną i wesołą. Znikli mi z oczów.

Doktór, z którym co kilka dni się zawsze prawie gdzieś spotkałem, gdym go zapytał o sierotę, smutnie się uśmiechnął.

— Gorzej jest — rzekł krótko.

Opisałem mu to, com z mojego obserwatorium mógł spostrzedz.

— Wiem o tem — rzekł. — Młody, poczciwy, ale nieszczęśliwy... bez przyszłości... w niej się rozmiłował... Gotów się żenić, ale ona zna swój stan, czuje, że żyć nie może, i wyjść za niego nie chce. Fantazya poprostu. Małżeństwo, jeśliby życia nie ocaliło, mogłoby je przedłużyć... Bywały wypadki... Ale dziewczę uparte i dziwnie rozmarzone!...

Zmuszony wyjechać na kilka miesięcy, w podróży zapomniałem o tym dramacie, który się przed oknem mojem odegrywał. Tyle ich przechodzi ciągle przed oczyma naszymi, których widzimy tylko pierwsze sceny lub ostatnie.

Wiosna była znowu, gdy, szukając czegoś w pokoju, usłyszałem śpiew w ulicy, jakby żalobny... Wyjrzałem...

Przed domem stała spora ludzi gromada i wóz z karawanem o dwóch koniach; w tej chwili właśnie wynoszono trumnę otwartą, w której wieńcami i kwiatami okryta spoczywała marmurowa twarzyczka sieroty z idealnym wyrazem, jaki śmierć rysom człowieka nadaje, nim się one w proch rozsypią. Leżała w białej sukience, w zasłonkach, ukwiecona, jakby szła do ołtarza, do ślubu.

Tuż przy trumnie szedł błądy z wyplakanemi oczyma przyjaciel ostatni. Miał on tyle męstwa, że sam kierował wszystkim i dźwigał na wóz zwłoki. Pot ciekł mu z białego czoła.

Gdy wóz ruszył z przed kamienicy, on jeden poszedł za trumną dalej. Ludzie się powoli rozplywać zaczęli. Ksiądz zaśpiewał... zaturkotało i karawan pociągnął ku cmentarzowi.

Okna na strychu stały szeroko pootwierane. W jednym z nich wazonik zielony sam pozostał, a zdawał mi się zdaleka pączkiem mirtu spóźnionym.

*

Nazajutrz przyszedł mnie doktor odwiedzić i, zaledwie stąpił na próg, ręką wskazał w stronę kamienicy.

— A co? — rzekł z tym spokojem, jaki częsty widok śmierci daje wszystkim lekarzom — a co? dramat skończony, jak przewidywałem. Sierota poszła na cmentarz, a ostatnie jej dni promyk złoty oświecił.

— Na tak krótko! rzekłem.
— A komuż on przyświeca stale i długo? — rzekł lekarz. — Nie doznała zawodu; biedny chłopiec kochał ją tem goręcej, że miał utracić. Dłoń jego zamknęła znużone powieki.

Doktór zadumał się trochę i nagle zwracając ku mnie, rzekł żywo:

— Nie jesteż to poemat?

1886.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-oknie/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *W oknie*. Nuaczyiele sieroty, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0475-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).